

PIERWSZA PRZEJAZDZKA

1. Opowiesci o Angrenie

W swoich pierwszych listach do mnie, gdy jeszcze korespondowalismy w sprawie ewentualnego , mojego przyjazdu do Uzbekistanu, ksiadz Biskup wspominal o Angrenie jako o parafii, ktora potrzebuje specjalnej opieki, bo nie ma rejestracji. Jakos specjalnie nie imponowala mi perspektywa pracy w jednym miasteczku. Bylem niemal pewien, ze gdy bede na miejscu to znajde sobie zajecie rowniez w innych atrakcyjnych miejscach. To, ze przez niemal tydzien czekalem na powrot Biskupa z urlopu sprawilo, ze mialem czas sie rozejrzec i nasluchac. Gdy patrzyłem na mape, to dziwilem sie, ze nie ma parafii w ogromnym autonomicznym kreju o znanej mi jeszcze z ogolniaka nazwie Karakalpaka.

Ciagnelo mnie w tamta strone jak magnes. Z drugiej jednak strony dziwilem sie rowniez, ze nie ma parafii w slynnym Andidzanie na wschodnich rubiezach panstwa. Gdy wypytywalem o to kolegow Franciszkanow odpowiadali mi zdawkowo i ze zniecheceniem. Mialem uczucie, ze pytajac o to naruszam jakies tabu. Kiedys o. Andrzej na moj pomysl, ze Andidzan jest blisko Angrenu odpalil, ze w tej okolicy jest juz o. Piotr i jak zechce to otworzy tam wspolnote. Za jakis czas mialem sie przekonac, ze rzeczywiscie praca w juz istniejacych wspolnotach uklada sie na tyle ciezko, ze mowienie o nowych parafiach jest co najmniej tematem ryzykownym. Co do Angrenu, to pewnego wieczoru gdysmy z taszkienckimi parafianami pili herbate, to dwie kobiety opisaly mi obrazowo moje miasteczko jako "miasto widmo". Podobno tam wiekszosc domow stoi porzuconych i straszy pustymi oknami jak pograzone w wojnie lub zniszczone podmuchem atomowej bomby.

2. Podroz z Natasza

Pierwsza podroz miala miec miejsce w sobote w dzien sw. Franciszka.

Początkowo jeden z mych dawnych kolegow, o. Kulczycki proponowal z samego rana odwiedzic Samarkande I pozdrowic tamtejszego Proboszcza z okazji imienin. Nie wyszlo, bo po pierwsze obiecalem wyglosic wieczorne kazanie o Franciszku w Taszkencie a po drugie to byl moj pierwszy rekonesans na moja parafie z o. Andrzejem.

Mielismy wyjechac o pierwszej ale spozniala sie Natasza pewna studentka-koreanka.

Przyjechala z gitara I bardzo mi sie to spodobalo, ze o. Andrzej ma kogos do pomocy. Zapalila sie we mnie nadzieja, ze I mnie przynajmniej na poczatku ta dziewczyna troche pomoze chocby pokazujac droge.

Jechalismy bardzo szybko. O. Andrzej zatankowal I jakos tak bezwiednie przywital sie z tankujacym chlopcem I podziekowal mu po uzbecku, ze zaimponowala mi jego wiedza. Z czasem sie dowiedzialem, ze jest na odwrot. Ojcowie sporo czasu udzielaja nauce angielskiego ale uzbecki ignoruja z przyczyn "dyplomatycznych", by zdjac z siebie podejrzenie o jakikolwiek prozelityzm w srodowisku muzulmanskich Uzbekow.

Dojechalismy na czas a nawet przed czasem, bo podobno spotkania odbywaly sie o czwartej. Pol godziny trwala nauka spiewu a ja mialem czas obejrzec terytorium.

Owszem po drodze dostrzeglem kilka opustoszalych domow. Nie bylo ich jednak tak wiele jak mi opowiadano. Zauwazylem wielki rynek I sporo sympatycznych I ludnych uliczek. O. Andrzej od razu zaznaczyl, ze to sa peryferie miasta ale nie domyslil sie by mi pokazac centrum, jak wspomnialem przyjechalismy w poспiechu.

Mszy mialo nie byc choc wszelkie potrzebne paramenty liturgiczne byly na miejscu.

Kaplica przypominala mi te miejsca, w ktorych bywalem poprzednio: domek w Batajsku, w Makiejewce czy nawet na Sachalinie. Nic nowego pod sloncem. Nawet lokatorzy, czyli stroz, niezmienny nabytek w takich okolicznosciach.

3. Modlitwa

Podczas gdy natasza konczyła grac mysmy sie ubrali w alby i ornaty. Początek modlitwy był jak na zwykłej Mszy. Kazanie wygłosiłem na temat błogosławionego Sopoćko i pokazałem parafianom cenna relikwie. Po kazaniu była modlitwa Ojcze nasz I rozesłanie. 7 osób zajęło 8 ławek. Niektórzy siedzieli po dwoje, więc połowa ławek była pusta. Dom pachnął suchą piłsnia podobnie jak domki w ośrodkach wypoczynkowych. Niskie sufity, niewielkie 4 pokoje i kapliczka 6 m na cztery. Żadnej osoby w średnim wieku i żadnego dziecka nie było na tym nabożeństwie. Najmłodszy był 50-letni stoz. On nas zaprowadził po modlitwie na tzw. "kuchnie letnia" tradycyjny oddzielny domek w większości domostw na Wschodzie. Nietypowy jedynie rozmiarami, bo większy znacznie niż kaplica. Od razu powstała myśl, że ta parafia powstała nie tyle dla modlitwy co dla takich "nieformalnych" spotkań przy herbatce. Ponoc bywały czasy, gdy nasi poprzednicy Baptyści karmili codziennie od 50 do 100 osób z okolicy.

4. Chleb

Gdyśmy się rozchodzili każda babcia otrzymała od o. Andrzeja po "lepioszce" czyli płaski jak placek okrągły bochen chleba. Ponoc bywały trudności z kupieniem go i od tej pory franciszkanie zaczęli przywozić go ze sobą i rozdawać. To było bardzo symboliczne i spodobało mi się. Moje pierwsze wrażenia były podobne jak niegdyś w Rostowie. Z jednej strony bawiło mnie to, że zaczyna się kolejna w moim życiu przygoda. Z drugiej strony zaczął zakradać się naturalny lek: "czy sobie poradzę"?

Gdyśmy wracali było już późno, tak przynajmniej kojarzę, że wjeżdżaliśmy do stolicy po 7-mej wieczorem, czyli o zmroku. Jechał z nami stoz Sasza, który wydał mi się 30-letnim opryskiem. Z czasem miałem się dowiedzieć, że to solidny "wiekowy pan" o 5 lat odemnie starszy. Niejednoznacznie wyrażali się o nim ojcowie, więc miałem od początku dystans. Dziwi mnie to dziś, bo spośród wszystkich parafian właśnie z Saszą mam dzisiaj najlepszy kontakt i sporo wspólnych tematów na długie sobotnie wieczory, które od tej pory w przeciągu całego roku miałem w Angrenie spędzać.

Tymczasem w Taszkencie zakończyła się również Msza o św. Franciszku, na której miałem być kaznodzieją. Proboszcz nie gniewał się na mnie, bo tego się można było domysleć. Zauważyłem, że gdy ktoś z 3 kapłanów spóźnia się na Msze do katedry, to pozostali nie robią z tego tragedii i wychodzą na modlitwę nie czekając na spóźnialskich.

5. Pierwsze kroki w Taszkencie

Następnego dnia z rana zgodnie z wcześniejszą umową miałem mieć angielską Mszę św. w Taszkencie. Tremowałem się niesamowicie ale jakos to poszło. Widziałem wiele znanych mi wcześniej twarzy siostr kalkutek więc głosiłem jakby dla nich. Mówiłem znowu o Miłosierdziu Bożym, zwłaszcza o siostrze Faustynie, której dzień wypadł i trochę o ojcu Sopoćko jej spowiedniku. Miałem dla wszystkich beatyfikacyjne obrazki z modlitwą w języku polskim. U wrot kościoła po Mszy rozgadałem się z pewną panią pochodzącą z New Jersey. Po niej podeszła organistka Ormianka, która pochwaliła mój angielski i pokazała mi chor, do którego wchodziło się drzwiami rozmieszczonymi na zewnątrz. Tak oto zleciał mi czas oczekiwania na Mszę rosyjską. O. Lucjan przedstawił mnie jako człowieka, "który długo pracował w Rosji i zna sowiecką mentalność". Zachęcał, by ludzie podchodzili do mnie i zapoznawali się ze mną. Po tej Mszy również rozdawałem "sopockowe ikonki" i być może wiele osób by ze mną pogadało, gdyby nie jedna nastyrna baba, która mi przez pół godziny prawila różne bezsensowne

komplementy, blokując tym samym inne osoby, które być może chciały popatrzeć mi w twarz i uściskać dłoń.

Ta kobieta nauczyła mnie, że pewne sytuacje i rozmowy należy uciąć bezwzględnie i nie ceregielić się dla własnego dobra.

6. Probny rekonesans

O. Lucjan w wakacje sam dojeżdżał do Angrenu i nawet pewnego razu przyjechał autobusem, bo jak mi relacjonował chciał się przekonać jak to wygląda i ile kosztuje. Z jego słów wynikało, że to nic trudnego, zresztą Lucjan nie zapominał moich “wojazy autobusowych” z Rostowa do Kalmucji, które trwały 12 godzin w jedną stronę i to cotygodniowo. Był więc pewien, że sobie poradzi. Tym niemniej radził, bym w przeciagu tygodniach pojechał do Angrenu sam i spróbował odszukać to miejsce, gdzie jest kaplica, by w sobotę już się nie blakac.

7. Quyluk

Do Bazaru Qoyluk w południowej części miasta dojechałem autobusem ze skrzyżowania drogi prezydneckiej i ulicy Ferganskiej. Był to historyczny przejazd przez wiadukt, który już nie istnieje. Dla bezpieczeństwa Prezydenta, na którego rzeczywiście po trzykroć różni ludzie dokonywali zamachu właśnie na tej drodze, zburzono całą dzielnicę domków jednorodzinnych i bardzo ważny węzeł komunikacyjny czyli wiadukt ułatwiający dojazd do dzielnic Taszkientu, które są “za torami”. Według moich szacunków w tej części miasta mieszka jedna czwarta Taszkienčan. To oni właśnie najwięcej cierpią z powodu likwidacji wiaduktu. Wielokrotnie przekonałem się, że i ja będę miał utrudnioną podróż z tego samego powodu. Ponoc ta właśnie nieszczęsna ulica Ferganska wiodąca na południowy-wschód, jest trasą potencjalnych rebeliantów z Andidzanu czyli z Ferganskiej Doliny. Przy okazji ofiara “neronowskich decyzji” zburzono wiele historycznych dzielnic miasta, jakie zachowały się podczas pamiętnego trzęsienia ziemi 1966 roku ale nie wytrzymały próby czasu, gdy “Nowy Uzbekistan” “przerabia pospiesznie” stary “wioskowy Taszkient” w “swaitowa metropolie”. Nie ma w niej miejsca dla wszedobylskich glinianych domków nawet sieć ulic, podobnie jak w Pekinie przed Olimpiadą jest całkowicie przerabiana. Ofiara tych pospiesznych przerobek padł między innymi domek, świętego Biskupa Łukasza Wojno-Jasienieckiego, dla którego udało się uzyskać status “pamiętki historii i architektury”. Tym nie mniej dla obecnych “ojców miasta” papierki tego rodzaju niewiele znaczą. Jak trzeba to pomnik architektury władze zbudują od nowa w takim miejscu i czasie kiedy lepsza koniunktura przyjdzie.

Spędziłem sporo czasu blakając się po dworcu autobusowym na Quyluku i gdy zdezorientowany nie dostrzegłem napisu Angren na żadnym przystanku zacząłem wypytywać ludzi. Oni mi wyjaśnili, że autobusy w tym kierunku “koczują” po drugiej stronie trasy i że trzeba przejść podziemnym przejściem.

Schodząc w dół napilem się masłanki. W której pływały jabłka i jakieś trawy. Potem dowiedziałem się, że jest to popularny napój pod nazwą ayron.

Udałem się we wskazanym kierunku. W podziemnym przejściu był spory tłok. Drobni handlarze proponowali co się da od ryby do skarpetek i zabawek, nie brakowało też zebraków różnej masy. Byli tam grajkowie z dziećmi, ludzie na wozkach inwalidzkich i nawet starcy w muzułmańskich szatach głośno recytujący wersety Koranu po arabsku. Na tym skrawku bazaru, gdzie stały taksówki, busiki i autobusy w kierunku Angrenu sporo kobiet targuje mlekiem. Higieny żadnej, zastanawiałem się jak one to robią, że przy tak wysokich temperaturach to mleko im nie kisnie. Dziwilem się też kupującym, że nie boją się brać “z rak” towaru z byłych butelek plastikowych.

Poszukiwanie autobusu nie zajmuje wiele czasu. Dziesiątki a nawet setki “naganiaczy” głośno zaczecają, by skorzystać z “usług transportowych”. Wielu z nich krzyczy głośno “Andidzan”,

“Fergana” inni wręcz ciągną za rękaw gdy klient milczy jakby rozważając propozycje...Z tego samego miejsca jada autobusy do Almalyku i Yangyabadu.

Wybrałem solidny autobus, który stał na placu naprzeciw dworca. Podróż miała kosztować 2000 sum czyli niespełna półtora dolara. Pogoda przepiękna, nastrój też niezły. Czekalem cierpliwie razem z kierowcą aż się autobus do końca załaduje pasażerami.

Podróż trwała około dwóch godzin.

8. Wędrowki po Angrenie

Wysiadłszy na Starym bazarze zapytałem w kiosku, który z autobusów miejskich rob i kolko po mieście tak bym je sobie mógł dobrze obejrzeć. Sklepikarz, u którego kupiłem słownik i opowieści o Samarkandzie był miły i poradził siasc na 8-mkę. Zrobiłem wedle jego porady.

Owszem, dostrzegłem nareszcie wielką ilość porzuconych wielopiętrowych domów. Wrażenie zniszczenia łagodziły tłumy ludzi na ulicach. Radowała moje serce wielka liczba dzieci.

Zapewne niedaleki ten dzień, kiedy domu ktoś odbuduje lub rozbierze na części. Podobne widoki choć w mniejszym wymiarze miałem okazję oglądać na ukraińskim Donbasie. Wcześniej tylko na filmach. Tak czy inaczej krajało mi się serce.

Cieszył mnie natomiast widok pięknej górskiej rzeki, mosty i aryki, czyli kanały przecinające całe miasto wzdłuż ulic.

Gdy powróciłem na Stary bazaar postanowiłem pospacerować pieszo w kierunku kaplicy.

Nie wziąłem z sobą adresu więc wędrowałem w ciemno. Zdawało się, że wiem dokąd iść jak mnie uczono w harcerstwie “na azymut”, cały czas na zachód. W pewnym miejscu trzeba było skręcić na północ ale byłem niecierpliwy i zamiast dojść do skrzyżowania obok nowego bazaru, skręciłem koło Urzędu Stanu cywilnego i zacząłem się blakac po “wiejskich uliczkach”.

Staralem się trzymać trasy autobusowej. Śmigaly mi przed oczyma “jedyńki”. Tak doszedłem do meczetu, co znowu rozweseliło moje serce. Akurat był południowy namaz i mężczyźni wracali do domów z modlitwy. To bardzo egzotyczny widok takie tabuny brodatych zgarbionych starców w chałatach z palkami w dłoni powolutku gawędzających po drodze niefrasobliwie blokując środek ulicy.

Wbrew logice udałem się w kierunku południowo-wschodnim i po raz trzeci znalazłem się na starym bazarze. Pamiętając z opowieści, że do kaplicy można dojechać autobusem numer dwa podjąłem ponowną próbę odzyskania swej bazy. Zaczynałem się niecierpliwic.

Owszem znalazłem to miejsce ale nie dzwoniłem i nie stukalem. Zadowolony z siebie zacząłem pieszo wracać w stronę bazaru. Dojrawszy autobus numer 13 pokusiło mnie by siasc na niego.

Zawiozł mnie w odległy koniec miasta, gdzie znajduje się Fabryka Opon. Przysiadł się do mnie starzec w tiubeciejce, który zaczął ze mną gawędzić niepytany. Niecierpliwie spoglądał na zegarek martwiąc się, że może się spóźnić na mecz. A kto gra zapytałem z grzeczności.

Uzbekistan z Australia odrzekł starzec...

9. Niemieckie osiedle

Odwiedziny w parafii w następną sobotę wypadły dobrze.

Pogoda się zmieniła, było pochmurnie tym nie mniej przyszły wszystkie te same osoby co i poprzednio. Odmówiłem z nimi koronkę do Jezusa Miłosiernego. Wygłosiłem kazanie i zachęciłem, by znowu przyszli z rana na Nabożeństwo Niedzielne. Wyjaśniłem im, że choć nikt w parafii się nie spowiada i nie przyjmuje komunii, to jednak mamy nadzieję, że to wkrótce nastąpi i warto się do tego przygotowywać ucząc się tekstu Mszy świętej.

Potem poszliśmy oglądać film. Dla lepszego zapoznania obiecałem, że będę pokazywać filmy syberyjskiej telewizji Kana. To miała być pewna nowość i swego rodzaju katecheza, po której miało być picie herbaty. Wysiadając na Bazarze kupiłem chałwę, ciastka i trochę owoców. Tak już miało być co tydzień.

Gawedzilem do pozna w nocy z Sasza, potem on mi przyniosl kilka dyskow z muzyka, ktore sobie ogladalem do pozna. Przenocowalem w pokoiku obok kaplicy, odprawilem Msze swieta, tym razem bez picia herbaty i pojechalem na dworzec. Bylo samo poludnie wiec nie od razu siadlem na autobus powrotny. Skusilo mnie, by dalej zwiedzac miasto wiec pojechalem trojka w kierunku kopalni i elektrowni. Wzdłuż drogi ciagnely sie dwa rwace kanaly, niewysokie domki i cmentarzyska. Tutaj niegdys wlasnie mieszkali miejscowi Niemcy, tutaj wielu z nich pozostawilo na zawsze swe kosci.

Na ostatnim przystanku bylem juz sam jeden wiec kierowca sie ze mna rozgal. Opowiedzial mi troszke o tym weglu, ze jest brunatny I wydobywa sie odkrywkowa metoda I troszke pogadalismy na temat owiec, ktore w Europie hoduje sie dla welny a w Uzbekistanie dla miesa i tluszczu, ktory gromadzi sie na posladkach zwierzacia wokol ogona. Tego tluszczu 50 cio kilogramowa owca moze miec 20 kg i wiecej!!!

Tak oto powolutku zbieralem informacje o kolejnym kraju swego pobytu i o swym nowym miasteczku.

Taszkient 1-szy pazdziernika 2009